
RYSZARD KAPUŚCIŃSKI



C z y t e l n i k

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

**BUSZ
PO POLSKU**

Czytelnik

Projekt okładki i karty tytułowej
Andrzej Heidrich

Redaktor techniczny
Hanna Bernaszuk

Korekta
Anna Rucińska

Copyright © by the Estate of Ryszard Kapuściński,
2007, 2019

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”
ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa
Warszawa 2019. Wydanie X
Ark. wyd. 5,3; ark. druk. 8,25
Druk: Drukarnia Wydawnicza
im. W.L. Anczyca SA, Kraków

ISBN 978-83-07-03461-4

Ćwiczenia pamięci

po niewielkiej uliczce
w małym miasteczku
pod kasztanowym baldachimem
biegnę sobie, wesołe dziecko,
ku miejscu, gdzie zginę.

Janusz A. Ihnatowicz

Wojna totalna ma tysiąc frontów, w czasie takiej wojny każdy jest na froncie, choćby nigdy nie leżał w okopie ani nie oddał jednego strzału.

Teraz, kiedy sięgam pamięcią do tamtych lat, stwierdzam, nie bez pewnego zaskoczenia, że lepiej pamiętam początek niż zakończenie wojny. Początek jest dla mnie wyraźnie umieszczony w miejscu i czasie, jego obraz mogę bez trudu odtworzyć, ponieważ zachował cały swój koloryt, całą emocjonalną intensywność. Zaczyna się od tego, iż pewnego dnia spostrzegam nagle, że na czystym, błękitnym niebie kończącego się lata (a niebo we wrześniu '39 było cudownie błękitne, bez jednej chmury), gdzieś bardzo, bardzo wysoko pojawia się dwanaście srebrno połyskujących punktów. Całą jasną, wyniosłą kopułę nieba wypełnia głuchy, monotony, nieznany mi dotąd pomruk. Mam siedem lat, stoję na łące (wojna zastała nas na wsi we wschodniej Polsce) i wpatruję się w ledwo, ledwo przesuujące się niebem punkty. Wtem w pobliżu, pod lasem, rozlega się straszliwy huk, słyszę, jak z piekielnym łoskotem pękają bomby (o tym, że są to bomby, dowiem się później, bo w tym momencie nie wiem jeszcze, że istnieje coś takiego jak bomba, samo to pojęcie jest obce mnie, dziecku z głuchej prowincji, które nie znało jeszcze radia ani kina, nie umiało czytać ni pisać, a także nie słyszało o istnieniu wojen i śmiercionośnych

bronii) i widzę wylatujące w górę gigantyczne fontanny ziemi. Chcę pobiec w stronę tego niezwykłego widowiska, ono mnie oszałamia i fascynuje, a nie mam jeszcze wojennych doświadczeń i nie potrafię połączyć w jeden związek, w jeden łańcuch przyczyn i skutków tych srebrno lśniących samolotów, huku bomb, pióropuszy ziemi wylatujących na wysokość drzew i grożącej mi śmierci. Więc zaczynam biec w stronę lasu, w stronę spadających i eksplodujących bomb, ale jakaś ręka chwyta mnie z tyłu za ramię i przewraca na ławkę. „Leż – słyszę rozdygotany głos matki – nie ruszaj się”. I zapamiętałem, że matka, przyciskając mnie do siebie, mówi coś, o czym nie wiem, czego sens jest mi nieznanym i o co chcę ją później zapytać, mówi: „Tam śmierć, dziecko”.

Jest noc i chce mi się spać, ale nie wolno mi spać, musimy iść, musimy uciekać. Dokąd uciekać – nie wiem, ale rozumiem, że ucieczka stała się nagle jakąś wyższą koniecznością, jakąś nową formą życia, ponieważ uciekają wszyscy; wszystkie szosy, drogi, nawet ścieżki polne są pełne wozów, wózków i rowerów, pełne tobołów, walizek, toreb, wiader, pełne przerażonych i błąkających się bezradnie ludzi. Jedni uciekają na wschód, inni na zachód, na północ, na południe, uciekają we wszystkich kierunkach, krążą, padają z wyczerpania, przysypiają byle gdzie, ale po chwili wytchnienia zbierają resztki sił i zaczynają od nowa swoją bezładną i niekończącą się wędrówkę. Uciekając, mam trzymać mocno za rękę moją młodszą siostrę, nie wolno nam się zgubić, ostrzega mama, ale i bez tego czuję, że świat zrobił się nagle groźny, obcy i zły, i że trzeba mieć się na baczności. Idę z siostrą obok furmanki, jest to prosty, drabiniasty wóz wyłożony sianem, wysoko na sianie, na

Inianej płachcie leży mój dziadek. Leży, nie może się poruszyć, jest sparaliżowany. Kiedy zaczyna się nalot, cały cierpliwie wędrujący, a teraz nagle ogarnięty paniką tłum chroni się w rowach, zaszywa w krzakach, zapada w kartofliskach. Na opustoszałej, wymarłej drodze zostaje tylko furmanka, na której leży mój dziadek. Dziadek widzi lecące na niego samoloty, widzi, jak się gwałtownie zniżają, jak biorą na cel porzuconą na drodze furmankę, widzi ogień broni pokładowej, słyszy ryk przelatujących nad jego głową maszyn. Kiedy samoloty znikają, wracamy do furmanki i matka wyciera dziadkowi spoconą twarz. Czasem naloty powtarzają się kilka razy dziennie. Po każdym nalocie z wychudłej, zmęczonej twarzy dziadka ścieka pot.

Wchodzimy w coraz bardziej pośępny krajobraz. Daleko na horyzoncie wznoszą się dymy, mijamy puste osady, samotne, spalone domy. Mijamy pobojowiska zasłane porzuconym sprzętem, zbombardowane stacje kolejowe, przewrócone na bok samochody. Czuć prochem, czuć spalenizną, czuć rozkładającym się mięsem. Wszędzie napotykamy trupy koni. Koń – duże, bezbronne zwierzę – nie umie się ukryć, w czasie bombardowania stoi nieruchomo, czeka na śmierć. Na każdym kroku martwe konie, to wprost na drodze, to obok w rowie, to gdzieś dalej w polu. Leżą z nogami uniesionymi do góry, kopytami wygrażają światu. Nigdzie nie widzę zabitych ludzi, bo tych grzebią szybko, tylko ciągle trupy koni karych, gniadych, srokowych, ci-sawych, jakby to była wojna nie ludzi, a koni, jakby to one toczyły między sobą bój na śmierć i życie, jakby one były jedynymi ofiarami tych zmagających się.

Przychodzi ciężka i mroźna zima. Jeżeli jest nam źle, wówczas dotkliwiej odczuwamy chłód, zimno jest bardziej przenikliwe; dla ludzi, którzy żyją w normalnych warunkach, zima jest po prostu kolejną porą roku, jest oczekiwaniem wiosny, natomiast dla biednych i nieszczęśliwych zima jest klęską, jest katastrofą. Ale ta pierwsza zima wojny była naprawdę mroźna. W naszym mieszkaniu piece są zimne, a ściany pokrywa biały, włochaty szron. Nie ma czym palić, ponieważ nie można kupić opału, a ukraść nie wolno. Za kradzież węgla – śmierć, za kradzież drzewa – śmierć. Życie ludzkie warte jest teraz byle co, tyle co kostka węgla, co kawałek drewna. Nie mamy co jeść. Matka stoi godzinami w oknie, widzę jej nieruchomy wzrok. W wielu oknach można zobaczyć ludzi wyglądających na ulicę, widocznie na coś liczą, na coś czekają. Z gromadą chłopców wałęsam się po podwórkach, ni to zabawa, ni to szukanie czegoś do zjedzenia. Czasem przez jakieś drzwi doleci zapach gotującej się zupy. W takich wypadkach jeden z moich kolegów, Waldek, wtyka nos w szparę tych drzwi i zaczyna pośpiesznie, gorączkowo wdychać ten zapach i z rozkoszą gładzić się po brzuchu, jakby siedział przy obficie zastawionym stole, w chwilę później zmarkotnieje i znowu popada w apatię. Raz słyszymy, że w sklepie przy rynku będą dawać cukierki. Natychmiast ustawiamy się – długa kolejka zziębniętych i głodujących dzieci. Jest popołudnie, zmierzcha. Stoimy na mrozie cały wieczór, noc i jeszcze następny dzień. Stoimy przytulając się, obejmując, żeby choć trochę się ogrzać, żeby nie zamarznąć. W końcu otwierają sklep, ale zamiast cukierków każde z nas dostaje pustą, metalową puszkę po landrynkach (gdzie podziały się cukierki, kto je zabrał – nie wiem). Słaby, skostniały z zimna, a jednak w tym momencie szczęśliwy, niosę swoją zdobycz do domu – jest cenna, ponieważ na wewnętrznej ściance puszkii pozostał osad

cukru. Teraz matka grzeje wodę i wlewa ją do puszki – mamy gorący, słodkawy napój: nasze jedyne pożywienie.

Potem znowu jesteśmy w drodze, jedziemy z naszego miasteczka – Pińska – na zachód, bo tam, mówi matka, na wsi pod Warszawą jest ojciec. Ojciec był na froncie, dostał się do niewoli, uciekł z niewoli i uczy dzieci w wiejskiej szkółce. Teraz, kiedy my, którzy w czasie wojny byliśmy dziećmi, wspominamy tamten czas i mówimy „ojciec” albo mówimy „matka”, zapominamy z powodu powagi tych słów, że nasze matki były młodymi dziewczynami, a nasi ojcowie młodymi mężczyznami i że bardzo się wzajemnie pragnęli, bardzo do siebie tęsknili, chcieli ze sobą być. Moja matka też była wówczas młodą dziewczyną, więc sprzedała wszystko, co miała w domu, wynajęła furmankę i pojechaliśmy szukać ojca. Znaleźliśmy go przypadkowo. Jadąc przez wieś, która nazywa się Sieraków, matka w pewnym momencie krzyknęła do przechodzącego drogą mężczyzny: „Dziudek!” Był to mój ojciec. Od tego dnia mieszkaliśmy razem w małej izdebce bez światła i wody. Kiedy robiło się ciemno, szliśmy spać, bo nie było nawet świecy. Głód przyszedł tu za nami z Pińska, ciągle szukałem, gdzie by co zjeść, skórkę chleba, marchewkę, byle co. Kiedyś ojciec, nie mając innego wyjścia, powiedział w klasie: „Dzieci, kto chce jutro przyjść do szkoły, musi przynieść jednego kartofla”. Ojciec nie umiał handlować, nie umiał robić interesów, pensji nie dostawał, więc uznał, że ma tylko jedno wyjście: prosić swoich uczniów o kilka kartofli. Nazajutrz połowa klasy nie przysłała w ogóle. Niektóre dzieci przyniosły pół, inne ćwierć kartofla. Cały kartofel był wielkim skarbem.

Obok mojej wsi jest las, w tym lesie, koło osady, która nazywa się Palmiry, jest polana. Na tej polanie SS-mani przeprowadzają egzekucje. Z początku rozstrzeliwują w nocy i wtedy budzą nas głucho, równomiernie powtarzające się salwy. Potem robią to także w dzień. Wiozą skazańców w zamkniętych, ciemnozielonych budach, na końcu kolumny jedzie w ciężarówce pluton egzekucyjny. Ci z plutonu są zawsze w długich płaszczach, jakby długi, ściągnięty pasem płaszcz stanowił nieodzowny rekwizyt rytuału mordy. Kiedy przejeżdża taka kolumna, my, gromada wiejskich dzieci, śledzimy ją ukryci w przydrożnych krzakach. Za chwilę za zasłoną drzew znacznie się dzieć coś, na co nie wolno nam patrzeć. Czuję, jak przenika mnie lodowate mrowie, jak cały drzę. Z zapartym tchem czekamy na odgłosy salw. Oto one. Potem słyhać pojedyncze strzały. Po jakimś czasie kolumna wraca do Warszawy. Na końcu w ciężarówce jadą SS-mani z plutonu egzekucyjnego. Palą papierosy i rozmawiają.

Nocą przychodzą partyzanci. Widzę ich twarze, jak pojawiają się nagle w oknie, przyciśnięte do szyby. Kiedy siedzą przy stole, przyglądam im się przejęty zawsze tą samą myślą: że mogą zginąć jeszcze dzisiaj, że są jakby naznaczeni śmiercią. Oczywiście zginąć mogliśmy wszyscy, ale oni takiej możliwości wychodzili naprzeciw, stawiali jej czoło. Kiedyś przyszli, jak zawsze, nocą. Była jesień i padał deszcz. Rozmawiali o czymś z matką szeptem (ojca nie widziałem od miesiąca i nie zobaczyłem już do końca wojny – ukrywał się). Musieliśmy szybko ubrać się i wyjść: w okolicy była oblawa, wywozili do obozów całe wsie. Uciekliśmy do Warszawy, do wyznaczonej kryjówki. Pierwszy raz byłem w dużym mieście, pierwszy raz zobaczyłem tramwaj, wysokie kilkupiętrowe kamienice, rzędy

dużych sklepów. Jak potem znaleźliśmy się znowu na wsi – nie pamiętam. Była to jakaś nowa wieś, po drugiej stronie Wisły. Pamiętam tylko, że znowu idę obok furmanki i słyszę, jak przez drewniane szprychy kół przesypuje się piasek ciepłej, polnej drogi.

Przez całą wojnę moim marzeniem są buty. *Mieć buty*. Ale jak je zdobyć? Co zrobić, żeby mieć buty? W lecie chodzę boszo i skórę na stopach mam twardą jak rzeźmień. Na początku wojny ojciec zrobił mi buty z filcu, ale ojciec nie jest szwecem i buty wyglądają pokracznie, poza tym urosłem i są już ciasne. Marzę o butach mocnych, masywnych, podkutych, które uderzając o bruk, wydają donośny, wyrazisty odgłos. Moda była wówczas na buty z cholewami, cholewy były symbolem męskości, siły. Mogłem godzinami wpatrywać się w ładne buty, lubiłem blask skóry, lubiłem słuchać jej chrzęstu. Ale nie chodziło tylko o urodę dobrego buta, o wygodę, o komfort. Mocny but był symbolem prestiżu i władzy, symbolem panowania; lichy, podarty but był oznaką poniżenia, piętnem człowieka, któremu odebrano wszelką godność i skazano na nieludzką egzystencję. Mieć dobre buty znaczyło być mocnym, a nawet po prostu znaczyło *być*. Ale w tych latach wszystkie wyśnzione buty, które spotykałem na ulicach i drogach, przechodziły obok mnie obojętnie. Zostawałem (myśląc, że zostanę tak już na zawsze) w moich topornych drewniakach pokrytych czarnym, brezentowym płótnem, któremu za pomocą jakiegoś mazidła bezskutecznie próbowałem nadać odrobinę blasku.

W 1944 zostałem ministrantem. Mój ksiądz był kapelanem szpitala polowego. Rzędy zamaskowanych namiotów stały ukryte w sosnowym lesie po lewej stronie

Wisły. W czasie powstania warszawskiego, nim ruszyła ofensywa styczniowa, trwała tu gorączkowa, męcząca krzątania. Z frontu, który w pobliżu huczał i dymił, przyjeżdżały pędem samochody-sanitarki. Przywoziły rannych, często nieprzytomnych, ułożonych w pośpiechu i nieładzie jeden na drugim, jakby to były worki ze zbożem (tyle że worki ociekające krwią). Sanitariusze, sami już ze zmęczenia półżywi, wyjmowali rannych i kładli na trawie, następnie brali gumowego węża i polewali ich silnym strumieniem zimnej wody. Kto z rannych zaczynał dawać oznaki życia, tego nieśli do namiotu, w którym mieściła się sala operacyjna (przed namiotem, wprost na ziemi leżała codziennie świeża sterta amputowanych rąk i nóg), kto zaś nie poruszył się więcej, tego nieśli do wielkiego grobu, jaki mieścił się na tyłach szpitala. Tam właśnie nad niekończącą się mogiłą stałem godzinami obok księdza, trzymając mu brewiarz i kropielnicę. Powtarzałem za nim modlitwę za zmarłych. Każdemu poległemu mówiliśmy – Amen, dziesiątki razy dziennie – Amen, w pośpiechu, bo gdzieś obok, za lasem, maszyna śmierci pracowała bez wytchnienia. Aż wreszcie kiedyś zrobiło się pusto i cicho – ustał ruch sanitarek, zniknęły namioty (szpital odjechał na zachód), w lesie zostały krzyże.

Co było potem? Teraz, kiedy przepisuję tu kilka stron z książki o moich latach wojennych (książki nigdy nienapisanej), zastanawiam się, jak wyglądałyby jej stronicie ostatnie, jej zakończenie, epilog. Co byłoby tam powiedziane o końcu wielkiej wojny? Myślę, że nic, to znaczy nic w sposób ostatecznie zamykający sprawę. Bo w pewnym, ale istotnym sensie, wojna nie skończyła się dla mnie ani w 1945, ani wkrótce potem. Na różne sposoby coś z niej trwało nadal i coś trwa nawet do dzisiaj,

ponieważ myślę, że dla tych, którzy ją przeżyli, wojna nie kończy się nigdy w sposób ostateczny. W wierzeniach afrykańskich istnieje pogląd, że ktoś umiera naprawdę dopiero wówczas, kiedy umrze ostatni z tych, którzy go znali i pamiętali. To znaczy – ktoś przestaje istnieć, kiedy odejdą z tego świata wszyscy nosiciele pamięci. Coś takiego jest również z wojną. Ci, którzy przeżyli wojnę, nigdy się od niej nie uwolnią. Ona pozostała w nich jako garb myślowy, jako obolała narośl, której nawet tak świetny chirurg jak czas nie będzie w stanie usunąć. Przysłuchajcie się spotkaniu tych, którzy przeżyli wojnę. Kiedy zbiorą się i usiądą wieczorem przy stole. Nieważne, o czym zaczną mówić. Tematów może być tysiąc, ale zakończenie będzie jedno: i będzie nim – wspomnianie wojny. Ci ludzie nawet w zmienionych, pokojowych warunkach będą myśleć jej obrazami, nakładając je na każdą nową rzeczywistość, z którą już nie potrafią się w pełni utożsamić, ponieważ rzeczywistość ta to czas teraźniejszy, a oni są opętani czasem przeszłym, ciągłym wracaniem do tego, co przeżyli i jak udało się przeżyć, ich myślenie jest obsesyjnie powtarzaną retrospekcją. Ale co to znaczy – myśleć obrazami wojny? To znaczy widzieć, jak wszystko istnieje w maksymalnym napięciu, jak wszystko tchnie okrucieństwem i grozą. Bo rzeczywistość wojenna to świat skrajnej, manichejskiej redukcji, która usuwa wszelkie barwy pośrednie, łagodne, ciepłe i ogranicza wszystko do ostrego, agresywnego kontrapunktu, do bieli i czerni, do najpierwotniejszej walki dwóch sił – dobra i zła. Nikogo więcej na placu boju! Tylko dobro – a więc my, i zło – to znaczy wszystko, co stoi nam na drodze, co się sprzeciwia, a co hurtem wtłaczamy w złowieszczą kategorię wroga. Obraz wojny jest przesycony atmosferą siły, siły fizycznej, materialnej, chrześzczącej, dymiącej, co chwila wybuchającej, bez przerwy kogoś atakującej, wyrażanej brutalnie

Ryszard Kapuściński (1932–2007), reporter, pisarz, fotografik. Pracownik redakcji „Sztandaru Młodych”, potem „Polityki”, a od 1962 r. korespondent PAP w Afryce, Ameryce Łacińskiej i Azji. Autor relacji z krajów objętych przemianami ustrojowymi, wstrząsanych wojnami i rewolucjami. Reportaże, w których łączył opis dramatycznych wydarzeń z wnikliwą analizą obserwowanych procesów politycznych i społecznych, przyniosły mu szerokie uznanie oraz światową sławę. Opublikował m.in. książki: *Busz po polsku*, *Chrystus z karabinem na ramieniu*, *Jeszcze dzień życia*, *Wojna futbolowa*, *Cesarz*, *Szachin-szach*, *Imperium*, *Heban*, *Podróże z Herodotem*, tomy krótkiej prozy (*Lapidaria*), wiersze i album fotografii.

Wydany w 1962 r. zbiór reportaży *Busz po polsku* to jedyna w dorobku Ryszarda Kapuścińskiego książka całkowicie poświęcona Polsce. Akcja większości utworów tworzących ten tom rozgrywa się na przełomie lat 50. i 60. XX wieku na polskiej prowincji. Mówią one o epizodach z jej życia i o losach związanych z nią ludzi. Dwie Niemki uciekają z domu starców w Szczytnie; studenci relegowani z uczelni waletują w akademikach, bez pomysłu, co robić dalej; prześliczną dziewczynę w bikini jej przyjaciel rzeźbi jako Madonnę do kościoła w miasteczku; wypalony eks-działacz, tuż po studiach, usiłuje uczyć w szkole historii; górnicy wędrują ze Śląska z ciałem kolegi, który zginął w kopalni, do jego rodzinnej wsi na Mazurach...

Nowe edycje książki zostały wzbogacone, zgodnie z wolą Autora, o napisany w połowie lat 80. tekst *Ćwiczenia pamięci*.

ISBN 978-83-07-03461-4



9 788307 034614

www.czytelnik.pl